

Antymigawka

Migawka

Już najwyższy czas uderzyć w pierś i przyznać się przed sobą oraz innymi. Tak, jestem uzależniony. Jestem nałogowym poszukiwaczem wrażeń. Gonię za nowością, za atrakcyjnym krajobrazem, za spotkaniami ze zwierzętami, za światłem malującym cudowne obrazy i kompozycje. Jestem nienasycony, jeśli chodzi o potężne drzewa, dzikie mateczniki i podmokłe ostoje. Uwielbiam spoglądać z wysoka na wijące się wstęgi rzek oraz błyszczące tafle jezior.

Można by zapytać: i cóż w tym złego? Czy jest coś nie tak w tym poszukiwaniu naturalnego piękna? Moim zdaniem – jest. Otóż widzę wyraźnie, że stałem się kolekcjonerem. Uganiam się za świecidełkami, które nawet swym naturalnym pięknem nie są w stanie rozgrzeszyć mnie z tego kłopotliwego nałogu.



[Beskidy. Fot. Effervescing Elephant, flickr.com](#)

Wszyscy albo prawie wszyscy poszukujemy szczęścia na zewnątrz. Niektórzy obrastają w niepotrzebne cywilizacyjne gadzety, spędzając swój cenny czas na uganianiu się po sklepach. Inni kolekcjonują kochanki lub kochanków. Jeszcze inni zaprzędają duszę i ciało alkoholowi. A ja gonię za pięknem tego świata.

Ta gonitwa jednak w sposób radykalny odcina mnie od tego, co jest. Gdy podchodzę pod górę, już chcę być na wierzchołku – dopiero tam czeka mnie spełnienie oczekiwań. Gdy idę do lasu, rozglądam się na lewo i prawo w poszukiwaniu śladów zwierząt. Gdy żadnego nie spotkam, ten czas wydaje się prawie stracony.

Gdy spotykam na swojej drodze turystów w górach, widzę to samo. Te udręczone twarze i pytania: czy jeszcze daleko do schroniska lub na szczyt? Tak jakby liczyć się miał tylko ten wynik. Przymus osiągnięcia rezultatu nie pozwala zobaczyć tego, co jest, bo droga zawsze wydaje się być mniej atrakcyjna niż cel. Stąd tak wielu z nas woli się po prostu podwieźć na górę kolejką. Błyskawiczne i bezwysiłkowe piękno.

Zdałem sobie z powyższego sprawę, gdy ostatnio podchodziłem stromym podejściem z Wysowej na Jaworzynę. Miałem ciężki plecak. Byłem już zmęczony po wielogodzinnej wędrowce. Moje skronie pulsowały miarowym rytmem, a twarz zalewana była strumieniami potu. Oj, żeby się to już skończyło! I nagle przystanąłem. Tak na 100% poczułem swoje ciało, każdą wibrującą zmęczeniem komórkę, każde uderzenie serca. I chyba jeszcze nigdy nie poczułem tak bardzo, że żyję. Potem, gdy ruszyłem, byłem świadomy każdego napięcia mięśni, każdej kropli potu, każdego oddechu, każdego podmuchu wiatru. Nie było żadnej góry, żadnej drogi, żadnego celu. Tylko ten moment. Ja w tym lesie – teraz. Każdy mój krok był absolutnie pełnym i jedynym doświadczeniem kontaktu z górą. Gdybym jakimś cudem znalazł się ot tak na wierzchołku, zostałbym pozbawiony jakiegos elementarnego i doskonale pełnego doświadczenia.

Pamiętam, że wcześniej zdarzały mi się już takie epizody. Kiedyś wybrałem się w Sokole Góry na Jurze. Miałem spenetrować kilka jaskiń i przejść całe pasmo. Ale gdy już znalazłem się w tym bukowym sanktuarium, położyłem się na suchych liściach i tak spędziłem kilka godzin, obserwując korony drzew i wsłuchując się w odgłosy ptaków. Potem, gdy się podniosłem, wiedziałem już, że nie wykonam planu; podniosłem się i pozwoliłem, by nogi same mnie prowadziły, bez żadnego

pośpiechu.

Dzisiaj coraz częściej jestem świadomy pułapki, jaką sam na siebie zastawiam. Jestem uważny na te wszystkie sygnały o własnym nienasyceniu i o pogoni za tym, żeby zobaczyć jeszcze więcej. I dlatego coraz częściej, zamiast zaliczyć jakiś odcinek, zdobyć któryś szczyt czy odhaczyć kolejną turystyczną atrakcję, siadam w jednym miejscu i się z nim zaprzyjaźniam, nawet jeśli nie ma w nim żadnych przyrodniczych fajerwerków.

Świat naturalny stał się dla nas kolejnym migawkowym supermarketem, a chodzi przecież o to, by tak najzwyczajniej umieć w tym świecie być.

Ryszard Kulik